

## Nietoperz mści się w Łodzi

Józef Kański \ „Jeden walc Straussa przewyższa pod względem wdzięku i prawdziwie muzycznej treści większość zagranicznych utworów [...]. Strauss to najmuzykalniejsza czaszka Europy” – pisał z entuzjazmem Richard Wagner, nieskory na ogół do pochwał pod adresem innych twórców. A Johannes Brahms, dedykując pewnej damie jeden ze swoich walców, zaznaczył z żalem: „oto walc – niestety, nie Johanna Straussa”. Istotnie: Johann Strauss-syn (1825-1899) przeszedł do historii jako niekoronowany król walca. Stworzył kilkaset tanecznych poematów w tej formie, a co najmniej kilkanaście z nich zyskało w całym świecie niebywałą sławę i popularność. Miał też z pewnością prawo do zaszczytnego miana księcia operetki przede wszystkim za sprawą iskrzącej się kapitalnymi twórczymi pomysłami i pełnej rdzennie wiedeńskiego wdzięku *Zemsty nietoperza*, o której znakomity dyrygent Felix Weingartner powiedział krótko: „*Zemsta nietoperza* jest arcydziełem tego gatunku”.

Jej wysokie muzyczne walory oraz efektywność głównych solowych partii sprawiły, że częściej bodaj niż w przybytkach lekkiej muzyki bywa wystawiana w wielkich teatrach operowych – z wiedeńską Staatsoper i nowojorską Metropolitan Opera na czele. Także łódzki Teatr Wielki nie pozostał w tyle i sięgnął ostatnio, nie po raz pierwszy zresztą w swej pięćdziesięcioletniej historii, po tę operetkę. Witold Filler zauważył swego czasu, że „mówiąc o operetce często zatracamy świadomość jej warstwy muzycznej, pamiętamy natomiast zawsze o warstwie widowiskowej”. Chyba jednak nie ze wszystkim miał rację – w każdym razie gdy idzie o *Zemstę nietoperza*. Tutaj bowiem wspaniała muzyka bezapelacyjnie wiedzie prym i w dużym stopniu decyduje o wartości całego dzieła, co też okazało się wielkim szczęściem dla świeżego łódzkiego przedstawienia.

Miewają bowiem inscenizacje *Zemsty nietoperza* bardzo różnorodny charakter. Ze studenckich jeszcze lat pamiętam przedstawienie w skromnym warszawskim teatrzyku przy ulicy Puławskiej, gdzie wokalnie-muzyczne produkcje nie wyróżniały się niczym szczególnym, natomiast fantastyczne aktorskie kreacje takich artystów jak niezapomniany Ludwik Sempoliński w roli dyrektora więzienia, Tadeusz Fijewski (książę Orłowski-Gigi) czy Władysław Walter (dozorca więzienny Frosch) sugestywnie budowały na scenie klimat dawnego Wiednia i bez reszty wciągały widza w przezabawną komediową akcję. Pojawienie się wśród balowych gości księcia sędziwej Lucyny Messal – legendarnej gwiazdy europejskich scen operetkowych – z ułożoną specjalnie dla niej piosenką na pochwałę walca widowia przyjęła z niekłamanym wzruszeniem. Pamiętam jednak także, z lat nieco późniejszych, spektakl *Zemsty nietoperza* w pewnym dostojnym operowym teatrze, którego to teatru artyści nie potrafili wyzbyć się operowej maniery, zaś całe widowisko pozbawione finezji i właściwego tempa wypadło ciężko i mało zabawnie.

A w Łodzi A.D. 2018? Tam triumfowała przede wszystkim świetnie zrealizowana muzyka. Jeden z nielicznych u nas rasowych operowych dyrygentów – Tadeusz Kozłowski – prowadził kolejne numery operetki Straussa po mistrzowsku, w żywych tempach i z porywającą dynamiczną energią. Znakomicie

grała pod jego batutą orkiestra Teatru Wielkiego, pięknie śpiewały chóry przygotowane przez Macieja Salskiego, a ułożone przez cenionego włoskiego tancerza i choreografa Giorgia Madię efektowne wstawki baletowe (dodano nawet parę utworów Straussa spoza partytury *Zemsty nietoperza*, z popularną *Polką pizzicato* na czele) stanowiły niewątpliwą ozdobę przedstawienia.

W premierowej obsadzie solistów nie zabrakło wybitnych śpiewaków. Prym wiodła kreująca partię Rozalindy znakomita Joanna Woś (przed spektaklem obdarzona zaszczytnym tytułem Honorowego Obywatela miasta Łodzi), a sekundowały jej godnie: Aleksandra Borkiewicz jako sprytna pokojówka Adela oraz Agnieszka Makówka w partii księcia Orłowskiego. Potężnym basem w partii dyrektora więzienia Franka wyróżniał się Dariusz Machej, a Krzysztof Marciniak (na co dzień p.o. dyrektora Teatru) jako śpiewak Alfred imponował swobodą pokonywania wysokich dźwięków tenorowej skali.

Tu jednak kończą się pochwały. Teatralna strona przedstawienia daleka była, niestety, od doskonałości. Giorgio Madia, który podjął się także reżyserii, nie umiał nadać zabawnej akcji lekkości i wartkiego tempa, a do tego postanowił rozgrywać wiele epizodów w głębi sceny, wobec czego obszernie mówione kwestie z trudem docierały do większości widzów. Nie pomógł też śpiewakom w tworzeniu wyrazistych i wiarygodnych postaci scenicznych. Pomińmy drobne niedopatrzania w rodzaju tego, że Adela, w odróżnieniu od swej pani, pojawiła się na balu u księcia bez maski (jakże więc jej chlebodawca mógł jej nie rozpoznać?!), zaś opowiadając w efektownej arii rzekomemu dyrektorowi trupy teatralnej o swych wszechstronnych aktorskich umiejętnościach, w żaden sposób nie próbowała takowych demonstrować, zaś więzienny dozorca Frosch pełnił swą odpowiedzialną służbę w stanie kompletnego upojenia alkoholowego. Czy potrzeba było dodatkowo uśmieszniać sceny z jego udziałem?

„Jeżeli prawdą jest, że posiadam niejaki talent, to wykształcenie go zawdzięczam mojemu ukochanemu rodzinnemu miastu, to jest Wiedniowi. W powietrzu tego miasta unoszą się melodie, które zostały zebrane przez moje uszy i zostały moją ręką zapisane” – pisał ongiś Johann Strauss. A czy w łódzkim przedstawieniu *Zemsty nietoperza* mogli poczuć widzowie coś z atmosfery dawnego Wiednia? Niech każdy z nich sam w swoim sercu na to pytanie sobie odpowie.